Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 11. Poznań dnia 10. Czerwca. **1839.**

Literatura zagraniczna.

Bióro Gazeciarza Paryzkiego.

(Dokończenie.)

Oto przychodzi jeszcze jeden redaktor; przybywa on właśnie z trybunału, gdzie sądzono interessujący proces i przynosi trzy kolumny sądowéj kroniki. Inny powraca z izby deputowanych i rozkłada na stole mnóstwo papierów, stenograficznem pismem w największym pośpiechu pokryślonych. Widzisz, jaki zziajany, pięć godzin ciągle z niesłychaną skwapliwością spisywał debaty rozhukanego posiedzenia, pochwytując każde słówko, a nawet wykrzyknik i poruszenie téj niesfornéj rzeszy. Musi on każdego przerywającego tok obrad na pierwszy rzut oka poznać, aby nikogo ani jednego brawa nie pozbawić. W głowie tego stenografa krzyżują się projekta do praw i w fantastycznym tańcu krążą przed jego oczyma. Jego jest rzeczą teraz te stenograficzne koślawe kreski zamienić na zwyczajne pismo, na które już czcionkarze jako na swą zdobycz czychają, i jeszcze mokre rozerwawszy je między siebie, jak harpije jakie, na powietrzu składają. Stenograf, ten męczennik reprezentacyi narodowéj, i najdłuższe opóźnienie godziny obiadowéj mężnym umysłem znieść musi, zasiadając dopiero razem, rozumie się o jednym czasie, z panami deputowanymi do stołu. Innych redaktorów czeka jeszcze w godzinie poobiedniéj nowe zatrudnienie. Wtenczas przybywają autorowie, księgarze z najnowszemi swemi płodami i tysiąc innych supplikantów, którzy nie pytając się, czy to lub owo stosuje się, lub godne jest ogłoszenia, usilnie o jak najkorzystniejsze zalecenie proszą. Tu musi się redaktor uzbroić stałością prawdziwie katońską, aby nie uległ natarczywości i pokuszeniu i nie spuścił z oczu raz przyjętych zasad i interessu swych czytelników. A i tak prawie nie podobna, znajdując się między Scyllą i Charybdą, nie uczynić pewnéj koncessyi dla tego lub owego, kiedy tysiączne rozliczne względy, to polityczne, to literackie tego gwałtem wymagać się zdają. Nareszcie przychodzą jeszcze ludzie, którzy pod pozorem pilnego interessu, chcą na słówko rozmówić się z pierwszym redaktorem, i obsesem do jego własnego pokoju wpadają. Ten pilny interes jest zwyczajnie rozwlekła historya, nikogo nieobchodzącą; a którą biedny redaktor z wielkiem udręczeniem cierpliwie aż do końca ze wszystkiemi szczegółami wysłuchać musi; choć już jest późno, a nie jedno jeszcze do załatwienia pozostaje. W nagrodę za te nieznośne nudy otrzymują niekiedy redaktorowie od swych politycznych przyjaciół i mężów wysoko stojących najszacowniejsze doniesienia, wynagradzające ich sowicie za całogodzinne unudzenie.

Ale któż jest ten człowiek, wchodzący do Bióra z dwoma lub trzema towarzyszami podejrzanéj fizyognomii. Trzeba wiedzieć, że się znajdujemy w Biórze gazety, która nie należy do ślepych chwalców obecnego porządku rzeczy, nie powinno więc to nas bynajmniéj dziwić. Ten człowiek, jest to kommisarz policyi, kładący areszt na gazetę. Pokazawszy swoje upoważnienie, rozkazuje sobie przełożyć ten numer, który na się ściągnął ministeryalną klątwę; siada, — pospieszają podać mu kałamarz i pióro, aby mógł spisać protokuł. Poczem oddala się spokojnie, nie uczyniwszy na umysłach wielkiego wrażenia, albowiem od dziewięciu lat przyzwyczaiła się już prassa do takich odwiedzin. Jeżeli sąd przysięgłych rozstrzygnie na korzyść wydawcy, wtenczas numer zostanie mu wydany — po upłynionych dwóch lub trzech miesiącach.

O szóstéj godzinie próżne jest Bióro, ponieważ redaktorowie idą na obiad i pauza ta trwa aż do godziny dziewiątéj. Wtenczas rozpoczyna się nowa praca; zbierają się nowości popołudniowe i doniesienia z pism wieczornych i porządkuje się cała gazeta. Najwyższy porządkowy imperator oświadcza, że ma za wiele polityki lub feuilletonów literackich, to jest artykułów oświaty się tyczących; ale mu jeszcze brakuje sto pięćdziesiąt dwa wiersze do wewnętrznych spraw, tyczących się pokoju i szczęśliwości kraju. Te na prędce dorobić trzeba. Około północy wszyscy swoję pracę

skończyli, wyjąwszy faktora (korrektora), który z piórem w ręku poluje na błędy drukarskie, owę odradzającą się hydrę drukarską, któréj nikt nigdy wytępić nie zdoła. W czasie nocy są w ruchu prasy, a rano składają się numera.

Tym sposobem każda godzina nowe przynosi zatrudnienie Poczem posyła się królewskiemu prokuratorowi przez odpowiedzialnego redaktora podpisany exemplarz, w którym ten inkwizytor umysłowy każde podejrzane miejsce czerwoną podkreśla kredą. Skoro gazety poranne już są wygotowane, przystępują do wygotowania gazet na prowincyą. Redaktor wykryśla z exemplarza dla stolicy przeznaczonego, artykuły teatralne, i wszystko, co tylko dla Paryża ma interes, a natomiast z pism porannych inne ogólniejszy mające interes wsuwa artykuły, po czem odciąga się liczba exemplarzy na prowincyą i na pocztę przesyła.

Tym sposobem fabrykują się gazety, dzień w dzień, wyjąwszy tylko wielkie święta. Jeżeli, oprócz licznego generalnego sztabu redaktorów, policzymy innych urzędników, niezmierne stemplowe koszta; wyznać trzeba, że gazeta w Paryżu olbrzymiem jest przedsięwzięciem. Pisma niezawisłe muszą prócz tego ponosić ustawiczne szykany, areszta, processa, kary pieniężne, a niekiedy nawet i więzienie. Wyznać trzeba: kto pod panowaniem karty, mającéj być prawdą, podług zaręczenia samego Louis Philippa, podejmie się tak trudnego przedsięwzięcia, ten zaiste wiele musi mieć odwagi i niczem niewzruszone polityczne przekonanie. *K.*

Literatura krajowa.

Poezya.

Skargi drzew.

— — Wieczór zapadał. Zwierzyniecka wieża
Modliła się dźwiękami rozbitego dzwonu.
Co Zdrowaś Marya, słowa mówiła pacierza,
Tak ponure i rzewne jak przeczucie zgonu.
Splątane szumem wiatru i szelestem fali
Tony biegły, jak cienie godzin przemarzonych,
Tonęły w głębi serca, jako ostrze stali,
I grały w duszy tęskny psalm za utopionych. *)

A przecież jam dosłyszał kochanków rozmowę
Przy téj muzyce śmierci, — i tony miłośne
Patrzyły, jak źrenice przez welun krepowy,
Szeleściły, jak świeże listki traw na wiosnę.

To Dąb téj strony brzegu do Brzozy kochanki,
Rzucał po falach Wisły słów miłośnych wianki;
Słowa na łodzi wiatru od brzega do brzega
Przebiegały, jak promień po wodach przebiega.

Dąb.

Brozo kochanko! — ja tutaj sam
Zielonym liściem piosenkę gram,
Co ranek tobie zorzy promienie
Niosą na wiatrach moje westchnienie;
Tobie o zmroku o moja miła!
Miłośną piosnkę luby posyła.
I narzekaniem drżący mój liść,
Radby przez wody do Ciebie iść! . .
Lecz liściem wicher burzliwy targa,
I w szumach Wisły utonie skarga;
I nim Cię nocna dojdzie piosenka,
Śpiewem ją ptaków zmąci jutrzenka!
O Brzozo! — kiedyż przyjdzie ten czas,
Że Wisła dzielić przestanie nas? . . .

Brzoza.

O! nieprzystoi dębowi łza,
Co liść stu wiosen na czole ma.
O nie płacz luby! . na białe łono
Dość łez wylewam z rosą poranku;
Ty się uśmiechaj, luby kochanku,
Choć burza miota twoją koroną.
Wisła niewinna — nie skarż jéj — nie! —
Ona nadzieję w me serce tchnie.
Ach! w jéj bałwanów ponurym szumie
Nie jeden pomruk dusza zrozumie;
Co jako łoskot w dalekiéj chmurze
Zwiastuje światu, że przyjdą burze;
I znów dziewiczą przepaską tęczy,
Poprzelękanym ludziom się wdzięczy! . .

Topola Nadwiślańska.

Co tam za wieści od tamtéj strony? . .
Czy Galicjanek to śpiew pieszczony?
Czy Krakowiaka rozgłośny śpiew
Wstrząsnął zaspane gałęzie drzew?
Nie, — Galicjanki nie nucą tak,
Tak żaden, żaden nie nuci ptak;
Bo ja znam dziewcząt i ptaków śpiewy,
Dźwięki bez myśli — błyszczące plewy! —
O! takby chyba w godów godzinie
Śpiewał Krakowiak hożéj dziewczynie,
Wstrząsając kosą — o! takby śpiewał,
I groził okiem, obliczem gniewał;
I znów zwycięzką rzuciwszy broń,
W uściskby chwycił Sławiańską dłoń!

Sosna.

Kto budzi mój miły, spokojny sen?
Kto pieśń miłości, burzy i nadziei gra?

Jałowiec.

Jam podsłuchał, — to Brzoza i Topola ta
Kłócą nocy spokojność — i młody Dąb ten.

---

*) Na jednéj z wież klasztoru Zwierzynieckiego znajduje się dzwon rozbity, w który co wieczór w pewnych przerwach dzwonią za dusze utopionych. Głos jego donośny, rzewny i ponury.

Pod murami klasztoru w rozpadlinie skał,
Jam dotąd dzień bez wrzawy, noc spokojną miał.
Własnym gorzkim owocem głód karmiłem mój,
Ciemny liść mi ożywiał rannéj rosy zdrój.
Lecz opiekuńczą skałę, mój rodzinny dom,
Przedwczora strzaskał grom!
I mrozem stygnę, w słońcu się warzę,
Z dębem, brzozą, topolą, niebu skargę gwarzę!

Świérk.

Zniewieściał Dąb i pieśń miłosną pieje,
W starości — cóż z niego będzie?
Kiedy rdzeń — dusza spruchnieje,
Na czole trzysta lat siędzie?

Sosna.

Pruchno, — co nawet nie błyśnie.

D ą b.

O! nie — o! nie,
Nie tylko miłość ja śnię;
Przeczujcie, domyślcie się! . . . .

Wikle.

I my, i my,
Igraszką wód i kry!
Nasz wązki listek
Powiędnął wszystek,
A jasną barwę miał.
Zorano grunt,
Co życie dał!
I my, i my,
Igraszki wód i kry
Wiśle podnosim bunt!

Lipa. *)

Ja młodsza siostra tego klasztoru,
W pieluchach wieków wykołysana,
Będęż milczała? — Krzyknę do boru,
Niechaj zagwarzy, jak gwarzył zrana,
Kiedy mu warkocz burza targała! —
O! i ja tutaj nie mam spokoju,
Za uchem jęczy Wawelska skała,
I w ciągłym z wichrem ścieram się boju.
I cóż mi ztąd — że wiosna, hoża Krakowianka
Z okiem miłością ognistém,
Podaje ust różanych każdego poranka,
I do snu mię kołysze na swym łonie czystém? . .
Nic, — daléj dzieci mojego cienia,
Przyszłe olbrzymy, zaszumcie wrzawą!
Z dwuwiekowego ryknę korzenia,
Wionę ze szczytu wichru kurzawą! . . .

I zawołały młode Lipy wychowanki
Na swój naród zielony. Rozgłos leciał pędem
Jakby żwawy Krakowiak do swojéj kochanki.
Tutaj, Woli topole rozstawione rzędem, *)
Jak piszczałki organów, zahuczały pieśnią.
Tam, drżący liść Osiki osypany pleśnią
Zabrzęczał arf muzyką, i wnet cała góra
Tysiącem drzew czubata, zakrzyczała — hura! —
Odgłos, jak orzeł skrzydła ze szczytu rozszerzył,
O piersi Srebrnéj góry, jak chmura uderzył, **)
I zaraz całym chórem wrzasnął las Bielański,
Pędzi — po Wisły wodach jak wiosłami pluszcze,
A nim dzwonek klasztorny skończył Anioł pański,
Już echem odwrzasnęły Niepołomskie puszcze. . .

Ucichło — a Wisła mówiła do drzew:
»I na cóż się przyda szatański wasz śpiew?
»I na cóż to łudzić przez śpiewy zwodnicze
»W noc cichą i miłą marzenia dziewicze?
»I straszyć je wichrem — i budzić młodzieńce;
»By łoże rzucali, chwytali się w ręce,
»Osłaniać przed burzą ramienia objęciem,
»Rodziców, siostrzyce i żonę z dziecięciem. . .
»O! cicho, — niech listek daremnie nie szumi,
»Ja matka tych brzegów zielonych;
»A serce matczyne uczuje, zrozumi
»Cierpienia dzieciaków pieszczonych.
»O! cicho, — ja kiedy w noc ciemną, ponurą
»Białemi pianami zakipię, jak śniegiem,
»Nadmę się powodzią, obejdę za górą,
»I dotąd dzielony połączę brzeg z brzegiem.
»I Brzozę płaczącą ożenię z kochankiem,
»I Wikle umaję, ustroję jak wiankiem,
»A tęcza się wody z méj piersi napije,
»Majowy deszcz spuści i Lipa odżyje.
»Bór zwiędłą skroń rozesmuci,
»Odżycia piosnkę zanuci,
»Piosnkę, o jakiéj marzę, kiedy moje fale
»Rozbijają się z szumem po Wawelskiéj skale.
»Tę piosnkę którą każda moja fala czuje,
»Dawną! . . . . .

Jodła.

Cyt! Wisło, — człowiek podsłuchuje.

D. 21. Kwietnia 1839. r. *E. W.*

Ogrody i poeci.

Powieść.

(Ciąg dalszy.)

Trembecki, wypudrowany, w sukni francuzkiego kroju, bogato haftem upstrzonéj, ze szpadą przy boku,

*) Zaraz obok klasztoru wspomnionego, jest miejsce przechadzki Lipkami zwane, gdzie rosną dwie ogromnéj wielkości Lipy, których wiek może dwustu lat dosięga.

*) Wola Justowska, wieś pod Krakowem, z piękną willą włoską i angielskim ogrodem. Od téj wsi spodem góry Bronisławy ciągnie się piękna ulica topoli włoskich.

**) Srebrną nazywa się góra w Bielanach o milę od Krakowa, na któréj klasztór XX. Kamedułów wśród lasu w zajmującym położeniu nad Wisłą. O wszystkich tych miejscach obszerna wiadomość w dziele Ambr. Grabowskiego p. t. Okolice Krakowa.

pełen słów słodkich i galanteryi wersalskiéj, jakiéj nabył na świetnych salonach pani Geoffrin, mimo lat siedemdziesięciu kilku, zdawał się odmładniać obok tak uroczéj kobiety. Rzadka to grupa! Kawaler Lagarde de Messence, który swoją wyobraźnią francuzką wystawiał sobie tę parę w lat kilkanaście potem, jakże ją trafnie porównał do Malwiny, oprowadzającéj starego Ossyana po skałach Erinu! Ossyan, Malwina, Trembecki, Zofia fanariotka! bard czwartkowych obiadów, z gotowym rymem dla możnéj wszetecznicy, do Naruszewicza w podróży kaniowskiéj, dla Zadunajskiego, dla wszystkich! Ona, miłośnica kupiona korcem złota, wszeteczna, jak wiek osiemnasty. —

Malwina! gdzież jeszcze jedna strona obrazu? gdzie ślepa i rogata duma, obok czołgającéj się podłości i zdrady? gdzie affektacya dla sztuk pięknych i poezyi? dla sławy i dla cnót rzymskich? — gdzie ojciec rodziny, który na przyczółku swojego gniazda pisze złotemi głoskami ironii: oby było zawsze wolnych i cnotliwych mieszkaniem! — Gdzieżeś panie Szczęsny? stanąłeś tu, na szczycie skały, cały ten raj podesłał się pod twoje nogi, i w pysze swojéj tak dumasz: oto ja potworzyłem te dziwy. Czem słyną Carskie-sioła, Wersale, Szenbruny, zgromadziłem w jednę Zofijówkę. Ale czyż te drzewa, te skały, te wody powtórzą imię swojego twórcy potomkom? O nie! — nieśmiertelności potrzeba skrzydeł poezyi! sława założyciela Zofijówki miłośnika sztuk pięknych, powinnaby zagłuszyć szmer brudnego gminu! . . . Tak bądź, co bądź, poezya unieśmiertelnić mię musi!

„Hrabio, szukamy cię! trzeba szambelanowi wszystkie cuda naszego ogrodu pokazać — trzeba mu gwałtem wybić z głowy Puławy, i piękną stopkę Izabelli, o któréj z takim rozprawia zapałem.“ — „Nie w naszych to siłach — ozwie się hrabia z ironiczno-pokornym uśmiechem — tu niepłynie starożytna Wisła, tu niema świątyni pamiątek, któraby jak prababka szeptała dzieje prapradziadów łamiących karki dla pięknego słowa: ojczyzna!“ — „A jednak jest tu wszystko,“ pochwycił Trembecki, „co zapomnieć każe o reszcie świata, są to pola elizyjskie, na które się wchodzi nie pijąc ze zdroju Lety. Piękność Zofii wybija z pamięci wszystkie piękności; — rozum, gościnność, możność gospodarza, wszystkie mądrości i hojne pyszno-skąpstwo świata.“ — Zbyt pochlebny kreślisz obraz szambelanie. — „Hrabio! mógłżebyś mnie posądzić o nieszczerość?“ — „Nie — lecz o przesadę — właściwą pięknym dowcipom i wierszopisom.“ — „Gdzież dowód?“ — „Sameś się wydał! jeżeli przyznajesz, że to są pola elizyjskie, za cóż tęsknisz za innym światem, za co wzbraniasz się przyjąć ofiarowanéj ci gościnności? Daruj mi szambelanie, ale nieuwierzyłbym, gdybym cię nieznał, że jesteś poetą, kiedy te wielkie obrazy, kiedy ta przyroda wypieszczona jak lalka, te allegoryczne świątynie, ten olimp cały — kiedy to wszystko ma tak mało powabu dla ciebie? Rozważ tylko: pół sławy w zysku, jeśli opiewasz to, co jest szczytne samo przez się; kto wie, Homer może dla tego słynie, że Achillesa śpiewał.“ — „Ależ i Homer czasem się zdrzymał,“ dodał Trembecki z złośliwym uśmiechem, jakby chciał rozumieć, „wtenczas, kiedy nie było co o Achillesie śpiewać — lecz jako przebiegły dworak, wnet myśl obrócił, i dodał z westchnieniem: „a ja już jestem drzymiącym Homerem!“ — „Obudzim cię, obudzim! zasmakuj tylko w rozkoszach mego dworu, gaszącego przepychem dwory książęce — zosań z nami na zawsze — używaj, co mamy — nie byłbym Szczęsny, gdybym nieumiał uszczęśliwiać!“ — „Ach, hrabio, słów mi nie staje! . . . ależ zamiar mój dostania się do Warszawy — ależ chęć poświęcenia ostatnich dni życia na usługi ziomków; podźwignienie języka, wyobrażeń, pracami historycznemi, którym się teraz poświęcam . . .“ — „Romanse, romanse, szambelanie! co chcesz począć z Warszawą? — to popiół, kupa gruzów; Rymnickoj nie wiele co zostawił — a ty, poeta salonów, chciałżebyś jeremiady rozwodzić? tobież to porzucać ten raj ziemski, gdzie z berła naszéj Semiramidy wszystko sypie się, jak z rogu obfitości? — niedziwiłbym się komu, ale tobie, mój Trembecki . . . .“

Jakkolwiek dobitna ta namowa wiele skutkowała na poecie, mającym nałogowy pociąg do dworactwa, do epikureizmu; jednakże pomysł jakiś wznioślejszy, którym chciał resztę życia swego skierować, jakieś poświęcenie się dla sprawy ogółu, jakieś wyparcie się miłości własnéj, przeważało w nim jeszcze, i pociągało ku téj stronie, którą pan Szczęsny tak smutnemi farbami malował. „Nie, nie! mości hrabio! młodszym zostawmy duchom drogę do tylu względów, do sławy! mnie staremu potrzeba będzie osiąść, gdzie na przedmieściu w stolicy, — żyć patryarchalnie i uzbieranym owocem obdzielać młodą dziatwę, jak ów dąb, który na to potrząsa czołem, aby koło niego młode wyrastało plemię!“ — „Marzenie! chcieć trupa odrodzić! ha! ha! ha!“ Pan Szczęsny parsknął śmiechem politowania. I umilkli. Jeden przemyśliwał, jakby go przywabić do siebie, — drugi wyszukiwał sposoby, jakby obstać przy swoim uporze — uporze; bo dusza lgnęła do blasku pańskiego. Między trojgiem tych osób rozmowa całkiem ustała, a Trembecki zamyślony ani się postrzegł, jak nagle stanęli u wnijścia ciemnéj pieczary — podziemny strumień szumiał — łódź czekała gotowa . . . .“ — „Ukarzmy

Zofijo, szambelana!“ przerwał pan Szczęsny ciszę, on co ma zamiar wskrzeszać umarłych, niechaj sam pierwszy wnijdzie do państw Plutona; — Charonie, bierz twoją ofiarę!...“ I w mgnieniu oka olbrzymi i barczysty, z siwą brodą wioślarz pochwycił wpół szambelana, i śród śmiechu pięknéj greczynki i hrabiego, opierającego się wtłoczył do łodzi, która natychmiast odbiła od brzegu, i znikła w ciemnościach podziemnego kanału. — „Przez litość, hrabio!“ wołał z głębi odpływający poeta, a głos jego głuchem rozlegał się echem, „przez litość, pomnijcie, że niemam z sobą ani cytry Orfeusza, ani złotéj gałęzi Sybilli!“ — „Rymy twoje staną ci za jedno i za drugie!“ zawołali oboje za odpływającym. — Poeta straciwszy z oczu ostatni promyk dniowy, utonął w dumaniu, do którego usposabiały go i obecne położenie, ważące się między niepewnością, i jednostajny szum wiosła. Całe przeszłe życie jak fantasmagorya rosło przed nim w ciemności: Mozolne lata nauki w jezuickim kollegium — pierwsza miłość — pierwszy wierszyk na cześć kochanki — pierwszy wstęp na pokoje magnata — podróże — dwór wersalski: Dubarry, Wolter, Kagliostro, Kazanowa, krocie intryg, pojedynki, epikurejskie utopie; daléj powrót do ojczyzny, dwór Stanisława, burze, jak syczące żmije wychodzą z pod ziemi, aby ten tron z desek teatralnych i kulis obalić, — a potem — potem .... słychać jęk milionowy, ruszają się groby — rozdziera się zasłona .... Gdzież on? poeta? czy może podziela boleść skonu? serca stygnące pieśnią rozgrzewa? — O nie — łódź jego żywota spokojnie płynie — stoickie: *impavidum ferient ruinae* — godłem jego chorągwi — jemu zawsze grają strumyki, uśmiechają się piękne oczy, zazdrośne, spazmatyczne, — jemu płyną wierszyki do pańskich piesków — małych nożek, a szpada i pistolet kawalera błyska dla każdéj obrażonéj piękności. To się nazywa przeigrać, przeżartować, przejeść i przeskakać z górą lat siedemdziesiąt. — „Gdzieżeś wieku, mój młody?“ jęknął Trembecki w bolesnym opamiętaniu się, „gdzieżeście proste i niewinne uczucia? — wszystko przegrałem za jeden uśmiech pańskiéj łaski. Dosyć już tego — przeniosę niepodległą mierność, życie ciche, a głośne w sercach milionów, nad twoje, dumny hrabio, rozkosze, względy, za które na każde zawołanie muszę być dowcipnym, uczonym, pochlebcą. O nie, mój hrabio, niezwabisz mię niczem, nawet gdyby twoja Zofija....“ — Poeta dłużéj jeszcze byłby prowadził ten monolog pół mówiony, pół myślany, gdyby nie uśmiech ironiczny, prostoduszny, bo z całego gardła, który się rozległ w sklepieniach kanału. Trembecki na wieki zapomniał, że nie sam jeden był w łodzi: „Cóż cię tak śmieszy? mój ty wesoły Charonie!“ — „Ha, ha, ha! śmieję się, jak z tego chłopa, któremu szatan pokazuje palące się pieniądze, a potem topi go w błocie...“ — „Cóż przez to chcesz rozumieć?“ — „Nic, albo coś — a może tylko się domyślam.“ — „Jakto, czyś mię podsłuchał?“ — „Samiście się wydali, a doświadczenie moje odkryło mi resztę tajemnicy.“ — „Doświadczenie twoje?“ — „Nie inaczéj! widzę, że was ciągnie coś gdzieindziéj, — tu znowu nasz hrabia na wędkę was bierze. O! jeśliś przestąpił próg pańskiego pałacu, jeźliś pił z jego szklanki, a dotknął cię ręką, może jeszcze ścisnął — toś przepadł — musisz mu służyć, jako djabeł u czarnoksiężnika nie jedne lat siedem.“ — Trembecki, który nigdy nie przestawał z gminem, niespodziewał się znaleźć tyle filozofii w prostym ukraińskim kozaku, a im więcéj się dziwił, tém więcéj rosła w nim ciekawość dowiedzenia się czegoś. „Trzeba wam wiedzieć,“ rzekł Charon, opierając wiosło na krawędzi łodzi, „że nie zawsze byłem dziadem pilnującym tego ogrodu od psotnych studentów, i nie zawszem woził gości po tym kanale....“ — „Oho!“ pomyślał Trembecki, „to coś zakrawa na powieść, jak o królowéj Golkondy“ — „Niegdyś koń mój był najlotniejszy na stepie; między mołojcami znano rękę moją najwprawniejszą do szabli, a oko do rusznicy. Na całym brzegu bohowym czerń wierzyła we mnie, jak w obraz cudowny. A jam usłuchał chytrych podszeptów! jam się wdał w rozmowę z wojewodą kijowskim, ścisnął mi rękę, i miasto baraniego kożucha odział szubą z czerwonym atłasowym wierzchem, odtąd zajęcze serce zaczęło bić pod szubą — namawiałem mołojców .... zdradziłem ich!....“ — Starzec westchnął głęboko, i tak silnie zaczął wiosłem robić, że woda pryskała nad głowy. „Okropna twoja historya!“ pomyślał Trembecki, „chciałeś mi dać naukę, a wlałeś truciznę w duszę, która o czemś lepszem marzyła. Tyś był człowiekiem gminu, i zdradziłeś go, zaprzedałeś, a ja z małego na dworskim chowany chlebie, dziś chciałbym miłość gminu pozyskać, nad grobem rozprzestrzenić życie, które się w ciasny obręb zamknęło — przedpokój!“ — Tyle dotkliwych myśli dręczyło go, tyle sprzecznych miotało nim uczuć, że zakrywszy twarz rękoma, ani się obaczył, jak łódź wybiegła z podziemnego kanału, na olśnione słońcem wody jeziora, a w tym śnie bolesnym dzień przenikający przez szczeliny palców jego, zdawał mu się być jutrzenką owéj światłości, którą chciał opromienić swoich spół-braci!

„Witaj z tamtego świata! witaj nam szambelanie!“ ozwały się setne głosy; „Niech żyje!“ zabrzmiała huczna muzyka. — Szambelan, jakby siłą czarodziejską, ujrzał się przeniesionym, rzekłbyś, na pola dusz szczę-

śliwych; pełen podziwu wodził około siebie okiem odwykłem od słońca. Kilkanaście łodzi, coraz piękniejszych, pływa po wodach słodkiego morza. Wiosenny wietrzyk igra różnobarwnemi wstęgami, napina żagle, roznosi wonie z wieńców orszaku Amfitryty, — Trytony dmą w trąby — wdzięcznie pieją Najady. Owoż okręt piękniejszy nad wszystkie, sprawnem cięty dłutem, ujaśniony farbami i złotem lśniący, podobny do weneckiego bucentaura, zmierzał ku łodzi naszego Charona. — „Szambelan! szambelan!“ wołały piękne damy, wiewając na niego wachlarzami, „witaj w dobrym zdrowiu! zapraszamy cię do naszego baciku. Jakże skutkowała kara? czy nawet i tu między błogosławionymi,“ i hrabia wskazał na grono otaczających go kobiet: „czy i tu jeszcze myślisz o tamtym świecie?“ I piękne damy uśmiechnęły się, i muzyka brzmiała, i pieśń śpiewano na cześć poety. Zofija jedna tylko miała głowę opartą na ramieniu hrabiego z lekką mgłą smutku. — „Zofijo! Zofijo! powitaj szambelana, spojrzyj wesoło,“ rzecze pan Szczęsny, całując ją w prześliczne oczy, „zkądże ta chmurka na czole?“ — „Czytałam teraz w smutnéj przyszłości naszéj, i lękam się....“ — „Ty przy mnie — śród rozkoszy — śród nieba przechylonego na ziemię, miałażbyś się lękać przyszłości?“ — „Lękam się o całą płeć naszą, i widzę, jak coraz władza nasza słabieje — kobieta dziś prosić musi, kiedy dawniéj zgadywano jéj myśli . . . .“ — „Kobieta dziś rządzi duszą, natchnieniem, kiedy dawniéj więzy tylko wkładać mogła . . .“ pochwycił Trembecki, którego ubodły przymówki Zofii.“ — „Nie rozumiem, o co wam chodzi?“ rzeknie pan Szczęsny, „Zofijo! to jakieś okrutne żądanie — zmuszać poetę — czy wiesz, że to są istoty do nas niepodobne, ani duszą, ani ciałem, oni zawsze gdzieś żyją między niebem, a ziemią jak sylfy — A przytem, nieprawdasz, szambelanie, ty masz obowiązki, które . . . tak są mocne . . . święte . . .“ — „Nie, nie, mości hrabio! wahanie się moje pochodziło dotąd, z nieufności we własne siły — odłogiem leżąca niwa poezyi nie wróżyła mi bujnego plonu — lecz w téj chwili takie natchnienie, taki zapał uczuwam w duszy, że . . . .“ — „Zofijo, Zofijo, uśmiechnij się do niego — no zgoda — podaj mu rękę. Tak — tak — ha! co, panie Trembecki, ucałowałeś ją, zaczynasz odmładniać, patrz, patrz, rumieni się, jak student, — lubię to, jest to niewinność wieszcza — natchnienie . . . .“ — I Trembecki śród téj przywróconéj harmonii zapomniał o swojéj podróży — o wielkich celach, o nauczkach starego Charona, o wszystkim. . . . Jemu tak dobrze w tym żywiole ócz jaskrawych, tych uśmieszków, tych słówek pieszczonych, pańskich względów, kadzideł. . . . Jemu tak słodko brzmi ta muzyka, ten hymn takie wdzięczne przynosi słowa, bo to wszystko dla niego siurpriza — tryumf poety!

Łodzie opłynąwszy jezioro, przybijały do wyspy, która niby bukiet pływający przyjmowała na łono swoje rój różnobarwnych motyli, dziewice postrojone we wstęgi i wieńce.

Zofija oparta na ramieniu szambelana — znowu Ossyan i Malwina! wchodziła z nim w ulicę ustawioną z dziewic, które pod nogi sypały im lilie i róże. Ulica ta wiodła do lśniącego jedwabiami i złotem namiotu rozbitego na łące. W namiocie stół na dwieście osób, gnący się od sreber. Na każdym torcie, piramidzie — cyfra poety, w każdym kielichu pieniącego się szampana, zdrowie poety! — a w grzmiącéj muzyce i słodkim hymnie — sława poety! — „Co za szaleństwo!“ myślił oczarowany Trembecki, kiedy w towarzystwie, w którem przybył, odpływał z wyspy, „na starość chciałem za laurami gonić, które tu pełnemi garściami zbieram!“ — „Hrabio! tu, gdzie wszystko ma swoje znaczenie i nazwę, zwłaszcza, że mi do mego poematu potrzebném będzie, jakież ta wyspa nosi miano?“ zapytał Trembecki, w chwili, kiedy na brzeg wysiadał. Anti-Circe — nazwałem ją dla jéj szczególnéj własności — każde zwierzątko, które tu przybywa, staje się lepszem i bierze twarz człowieczą.“ — „Więc odczarywuje to, co wpodlejszy twór zamieniła Cyrce?“ — „Nie inaczéj — ten cud i na tobie się pokazał,“ dodał żartobliwie pan Szczęsny — przed chwilą byłeś upartym wołem, a krokiem wstąpiwszy na tę wyspę przybrałeś postać samego Feba.“ — Trembeckiemu niewypadało, jak w raz z drugimi poklasnąć i uśmiechnąć się na ten dowcip, lecz uśmiechem, w którym dużo było ironii i goryczy.

(Dokończenie nastąpi.)

Krytyka.

Prolegomena do Historyozofii, rzecz napisana w języku niemieckim, przez Augusta Cieszkowskiego. Berlin, 1838.

(Dokończenie.)

W ten sposób P. Cieszkowski zarzutu, który Heglowi z nieukończoności dziejów uczynił, odwrócić nie może, bo czego tamten nie utrzymywał, on utrzymuje: że duch czasu dwie już epoki przebył, i tylko jeszcze trzecią ma przed sobą; że w architektonice jego całkowitość dziejów zamyka się. Ten trzeci i ostatni okres ma być rozwinięciem się i osiągnieniem najwyższego uzupełnienia ducha; powinien był więc autor wyrzec i to jeszcze, co jest powyższego twierdzenia koniecznym wynikiem, że rodzaj ludzki, kiedy już doskonałość ową najwyższą osiągnie, i duch w nim zaświeci w pełni blasku piękna, prawdy i dobra, w téj porze właśnie zaginie, dzieje z nim się zakończą, i będzie skończenie świata. Inaczej i historyozofii zadać można pytanie, czyliż z trzecim

okresem ma być koniec dziejów; koniec urzeczywiszczania się ducha, wiekuistego, nieskończonego, tak co do istoty swojéj, jak i w wypełnianiu onéjże dziejami światów? Przyznajemy chętnie autorowi, że oryginalny jego podział dziejów na dwie takie przecznice, jest istotny, i że wniosek z nich na przyszłość jest konieczny i prawdziwy: ale nie widzimy konieczności, aby syllogizm z tych trzech działów był już ostateczny, aby to było już najwyższe zsierdzenie syntezów; ani się przekonywamy, co ztąd także wynika, aby doskonałość trzeciéj epoki ostateczną była doskonałością, ostatecznym celem niepojętego nigdy w zupełności ducha, odgadnionym przez nas, stojących na stanowisku tak odległym, że im bardziéj się myślą w przyszłość zapociekamy, tém niedościgléjszą się widzi. Pomysł geniuszu wyprzedzać może wielki, ale nie prześcignie ostatecznych celów ducha, i tam gdzie krańce jego widzi, są dopiero nowych duchowych okolic graniczne słupy.

Rozdziały następne Prolegomenów, o ile filozoficznie uważają dzieje jako dzieje, to jest w przeszłości roztoczone, mają prawdziwą filozoficzną wartość, i mieszczą wiele wzniosłych, oryginalnych pomysłów.

W rozdziale II. mówi autor o kategoryach historyi. Myśl abstrakcyjna będąc integralną częścią upełnionego rzeczywistością ducha, przebija się na odwrót z rzeczywistości. Ztąd już Hegel kategorye logiczne w historyi wykazał. Ale historya ma jeszcze inne kategorye, bo w niéj nie tylko sama myśl działa, ale razem natura i ludzie. Ztąd kategorye fizyczne i antropologiczne. Pierwsze dzieli autor na symboliczne i realne. Natura będąc zwierciadłem ducha, odbijać musi w równoodległi obrazy, symbol ducha historycznego. Tak światło symbolem jest dziejów Perskich, Greckich elektryczność ciepło Rzymu, i t. d. P. Cieszkowski pierwszy z filozofów na to porównanie natrafił, i przeprowadził je, choć w ogólnych tylko skazówkach. Kategorye fizyczne realne, to jest klimatyczne i geograficzne, już dawniéj za stanowcze w historyi uważano. O kategoryach trzeciego rodzaju jest tylko ogólna uwaga, bez ich szczególowego zastósowania; bo też wielkich wprzody potrzeba badań szczególowych historycznych, aby okazać, jak psychologiczne momenta życia pojedyńczego człowieka, objawiały się i objawiają w życiu to narodów, to całéj ludzkości. Uważanie dziejów pod temi trzema względami, stanowiące dopiero zupełne ich filozoficzne pojęcie, jest widocznym postępem, jaki P. Cieszkowski do filozofii historyi wprowadza, odkrywając zarazem w téj stronie nowe obszerne pole badań.

Trzeci i ostatni rozdział historyozofii, poświęcony zbadaniu celu ducha historycznego. W postępie czasu rozwija się postęp celu, bo czas wszystkiemu nadaje postęp. Pierwszym jego stopniem było estetyczne wychowanie rodzaju ludzkiego, czyli kultura. Pod tym względem uważali już dzieje Herder i Szyller; tamten w kulturze pojedyńczych ludzi, ten narodów: ale nie wznieśli się jeszcze do pojęcia wyższego, mieniąc owo ukształcenie ostatecznym celem ducha dziejowego. Kultura estetyczna na zewnętrzne tylko stósunki życia zwrócona, wydawszy z łona swego sztuki piękne, doszła już u greckich pokoleń do kulminacyi, i na przeciwną przerzucić się musiała stronę, do wewnętrznéj samowiedzy ducha, badać, szukać prawdy i poznać ją w myśli przezierającéj z wszystkiego, co jest rzeczywiste, ale zmienne, nikłe zarazem. Nastała więc druga epoka filozoficzna. Arystoteles ją otworzył, stojący na kończynie starożytnych wieków, a Hegel do najwyższego szczytu doprowadził. Samowiedzeniem siebie poznał człowiek wolność, i starał się ją osiądz. Cały drugi stopień postępu dziejów odbywał się w myśl téj wolności. Taka też jest Hegla definicya dziejów. Wyżéj się Hegel nie wzniósł, bo wyżéj nie mógł, stanąwszy na zenicie filozofii idealnéj.

Aby w przyszłości odkryć trzeci stopień celu ducha dziejowego, któryśmy już wyżéj przytoczyli, autor musiał nad samą filozofią wprzody się zastanowić; bo jaka będzie filozofia, takie będą dzieje. I tu to widzimy, cośmy już na wstępie wyrzekli, filozoficzną genialność Pana Cieszkowskiego, pomysł wielki, głębokie pojęcie ducha czasu. On trafnie ocenił stanowisko Hegla, twierdząc, że w nim przesiliła się filozofia. Albowiem Hegel zbadał wszystkie regiony ducha, obżeglował cały świat duchowy: znikła metafizyka, bo nic nie ma w jego filozofii tylko metafizyka, sama metoda z filozofią zrosła, i nie ma gdzie okiem umysłu pojrzeć, gdzieby on już nie był. Ale właśnie dla tego, po dokonaniu tego wszystkiego, co tylko dokonać można było, skończyć się musi panowanie filozofii. W Heglianizmie jest rzeczywistość, ale tylko rzeczywistość ducha, rzeczywistość idealna zatém. Wolność owa jest tylko wolność człowieka abstrakcyjnego, człowieka jako człowieka w ogólności, ale nie wolność ludzi tych właśnie żyjących. Duch świata więc z tego idealizmu, z téj jednostronności duchowéj występuje, i wyższego sięga stanowiska, upełniając oną duchową rzeczywistością, rzeczywistość w jéj formach przypadkowych. Po filozofii więc, jako już po niższym stopniu wnijdzie duch dziejowy do życia rzeczywistego spółecznego tych zawsze szczególnych ludzi. Odtąd filozofia przejdzie w massy ludu, i w zastósowanie do praktyki życia, z których się mianowicie instytucye towarzyskie, a z nich prawdziwa dopiero wolność i uobyczajenie rozwinie. Myśl tę ogólnie tu tylko rzuconą, przeprowadził autor od 99. do 137. str. pisma swego, który to ustęp w niém mamy za najlepszy, i życzymy, aby w tym duchu i nadal pomysły rozwijał, a pomny na to, że z przewodnictwem filozofii skończy się także przewodnictwo narodu, który ją z siebie wysnuł, i hegemonia duchowa sławiańskiemu dostać się może plemieniu. ku czemu wiele odkrywa się poznaków, aby w rzeczach filozoficznych nie obcym przesilonym i przedojrzałym, ale ojczystym, młodym i jędrnym pisał językiem. *Libelt.*

Przegląd pism.

Wspomnienia o Francyi, *przez Panią R. z Książąt G. (autorkę Emmeliny, Ragany i Przeznaczenie.) W Krakowie 1839 u Gieszkowskiego.*

Tyle lat jeździli Polacy do Paryża, téj Mekki i Medyny polerownego spółeczeństwa wszystkich narodów, jeździli w XIII. wieku dla uczenia się teologii, w XIV. dla filozofii, w XV. dla filozofii scholastycznéj, w XVI. po Walezyusza, w XVII. za żonami dla swoich królów, w XVIII. do Leszczyńskiego, w XIX. do Napoleona, a jeszcze ani jeden tego miasta i Francuzów nie opisał; bo kto tylko przyjedzie do téj Babilony, czyli to uczony, czy dyplomat, czy poeta, tak się w odmęcie odurzy i upoi, iż ledwie porzuciwszy Paryż, spokojne i trzeźwe odzyskuje zdanie, którego do sądzenia o niezwyczajnych i nowych rzeczach potrzeba. Jeźli zaś cokolwiek dłużéj w Paryżu zasiedzi się, wkrótce mu się zdaje, iż się tam urodził, i tylko barszcz i pierogi czasem mu przypominają, że nie w swoim jest kraju. Tak to było aż do czasu naszego, w którym wiele się zmieniło, a między innemi literatura polska przestała zapatrywać się na francuzką, a co dziwniejsza, w którym Polacy Francuzów tańcować uczą. Oto przecież, aby raz mamy opis tego sławnego Paryża, do którego mimo czekuladowego błota, ciasnych ulic, skąpych półmisków, więcéj niż zimnéj gościnności, wszyscy serdecznie wzdychają i ci co niebyli, i ci którym tam przebywać zdarzyło się. Do opisania Paryża Polka rękę ściągnęła, Polka znana już czytającéj cząstce narodu z trzech bardzo przyjemnych romansów, samotna, wlokąca bez wdzięku życie, bez celu, pisała dla samotnych. Niemożna było lepiéj wybrać przedmiotu, bo nic się chętniéj nie czyta w zaciszy, w samotności, jak o zgiełku, a Paryż, zbiegowisko wszystkich narodów, miasto ruchliwe, wrzące, Babilona europejska, jest właśnie najszczęśliwiéj do tego dobranym przedmiotem. Dobrze więc, rzecze nam czytelnik, tożto dopiero autorka nagadać się musiała o ptyfeniach, tiulach, strusich piórach, kaszmirach i mentelkach. Ciekawe zaiste

dzieło, vade mecum wszystkich Polek, które mają się udać do Paryża, — będą wiedziały . . . stoj! stoj! bardzo się mylisz. Bo oto z przeproszeniem mężczyzn, żaden Polak o tak ważnych, dziś powszechnie zajmujących rzeczach, nie mówi. Na każdéj stronnicy pełno dowcipu, głębokich uwag i obrazów mistrzowską skreślonych ręką, — czasem nawet w karykaturze, jak n. p. obraz pewnego francuza na str. 10. Ciekawa jest także genealogia marzeń S. Simonistowskich. Autorka wiele rzeczy rodzących się w naszym czasie, których ważność w przyszłości dopiero pokaże się, umiała dojrzyć w zaczątku i opisać. Równie ciekawa jest część o dzisiejszéj literaturze francuzkiéj, a jako w opisaniu naczelnika Francyi różni się bardzo z Xięciem Pückler-Muskau, tak w zdaniu o literaturze pokazuje nam stronę zupełnie przeciwną od téj, którą siedzący na Ukrainie przed obrazem człowieka z założonemi rękoma Michał Grabowski wystawił i szaloną literaturą nazwał. Pani Dudevant we fraku i cygaro w ustach i jéj okrzyczane pisma, nie są tu w tak przeraźliwych wystawione kolorach. Autorka tych wspomnień o Francyi (a które raczéj są wspomnieniami Paryża) w sądzie o obecnéj literaturze francuzkiéj więcéj okazała męztwa, niż P. Michał Grabowski, trochę tchorzliwy. Cokolwiek bądź, książka niniejsza jest to ciekawy flamandzki obrazek, wewnętrzne domu wystawujący szczegóły, pokazuje nam Paryż jakim jest wewnątrz; nie masz tu ideału, ale wierne w żywym kolorycie odrysowane podobieństwo gospodarskiéj izby, na które miło rzucić okiem, choć powszednie wyobraża rzeczy. Cóż dopiero gdy tu pod delikatny pędzel autorki nawijały się tak osobliwsze figury, jak np. Mr. Grabousky, tak zajmujące osoby jak Pani d'Abrantes. Żebyśmy zaś dali poznać, w jakim kolorycie, à la Carlo Dolce, autorka swoje miniatury malować umie, dołączamy tu opis spojrzenia Mickiewicza: »Prócz czoła nic Pana Hugo od reszty śmiertelnych nie różni i możnaby tysiąc razy go minąć, niezapytawszy, kto jest. Mickiewicz daleko bardziéj romantyczną ma powierzchowność: wyraz oczu jego nie do określenia; przed jego okiem obojętnie przejść niemożna; gdy to spojrzenie z całą bystrością spuści się na ciebie, bądź pewnym, iż się wskroś przeszytym uczujesz. Niekiedy przymdlone się błąka . . . natenczas widzisz w niém całą głębokość nieobjętych Beethowena kompozycyj . . . melodyą fantastycznych improwizacyj Chopena . . . czasem znowu zdaje się niém sklepienia niebios przedzierać, wieki odgadywać, przyszłość zgłębiać, pojmować. Wtenczas widać w tych oczach, że ziemia z przed nich znikła . . . . wtenczas i tylko wtenczas Mickiewicza malowaćby trzeba.« *N. Z.*

Doniesienia literackie.

W Poznaniu wyszło z druku: Wykład pomysłu do utworzenia banku ziemskiego w Poznaniu. Projekt ten odznacza się i gruntownością pomysłu, i szlachetną dążnością; jego główny cel albowiem jest uwolnienie chłopów od czynszów.

Chopin powróciwszy z swéj przejażdżki z panią Dudevant do Francyi, wyda wkrótce 24 preludyjów. Wyznać musimy, iż od niejakiego czasu pan Chopin zbyt rzadko uszczęśliwia nas swemi kompozycyami, a z tych, któremi nas obdarza, niektóre bynajmniéj nie odpowiadają jego geniuszowi. Ostatnie jego dzieło (34) Trzy Walce nie mają (wyjąwszy może drugiego) nic w sobie, coby przypominało owę smętność tak męzką, owę rozpacz i z niéj wypływającą moc, owę tęsknotę i te uczucia serca bolejącego nad nieszczęściem braci, nad nieszczęściem ludzkości. Kompozycye te widocznie dla honoraryum ułożone były. Lubo wiemy, na jak szlachetne cele pan Chopin obraca wszystko, co tylko oszczędza z godzin i honoraryum za kompozycye, ilu rodakom za granicą będącym wsparcie szlachetne niesie, ilu familiom nieszczęśliwym łzy ociera; lubo wiemy, że wieniec z tak pięknych czynów uwity, najchlubniejszą jest jego serca i geniuszu ozdobą: to wszelako niech nam wolno będzie mu przypomnieć, że jako geniusz równie wiele jest winien sobie i sławie, która się stała naszą chlubą. Nieśmielibyśmy takiemu geniuszowi jak p. Chopin czynić téj uwagi, gdybyśmy nie znali jego wielkości duszy, i nie byli przekonani, iż sam pewnie wie, że wielu ma wielbicieli — większych jednak od nas, pewno nie.

Z nowości angielskich oprócz romansu angielskiéj Dudevant, żony Bulwera »Cheveley czyli człowiek honoru,« czyniącego w teraźniejszem piśmiennictwie niesłychane *furore*, są ważniejsze: The Idler in Italy przez kochankę Bayrona, piękną i uczoną Lady Blessington. Miss Martineau, tak wsławiona przez swe pierwsze dzieło, wykładające ekonomią polityczną w powieściach, wydała obecnie nową powieść Deerbrook w 3 tomach. Literary gazette, z któréj mamy te doniesienia, nie zupełnie zadowolona. — Z naukowych dzieł zwracamy uwagę na Historyą Stanów zjednoczonych przez James Grahame; na China openad Gutzlaffa; na Spostrzeżenia na południowéj półkuli Herszla; na ukończone dzieło Wellingtona: Depesze podczas jego wyprawy do Indyi, Danii, Portugalii, Hiszpanii, Niderlandów i Francyi w r. 1799—1818. — Sławna arystokratka Mrs. Trollope, która taką śmiesznością się okryła przez swe dzieło o Stanach zjednoczonych, przeszła teraz na pole stósowniejsze i wydaje The life and adrentures of Michael Armstrong the factory boy, chcąc okazać niegodziwość systematu używanego względem robotników.

Wkrótce ukończy się druk najnowszego i najjenialniejszego romansu Kraszewskiego: Swiat i Poeta, który redakcya Tygodnika literackiego w Poznaniu wydaje.

Emmanuel Glücksberg ogłosił przedpłatę na dzieła Jędrzeja Sniadeckiego w 6ciu tomach. — Pierwszy tom z portretem na czele, zawierać będzie *Biografią Autora* i pozgonne jego pismo: *O fizycznem wychowaniu dzieci*. Wzorowe dzieło, prawdziwéj filozofii i doświadczenia piętnem oznaczone; a jak wydawca w przemowie swojéj powiada: „dla wszystkich czytelników jednostajnie przystępne, dla matek zaś troskliwych nieoszacowane.“ — Drugi i trzeci tomy obejmą dalsze pisma lekarskie, najprzód ogólnéj treści, jak n. p. *O pokarmach i napojach; O gorączce* wyborny traktat wielkiego praktyka i obserwatora okazujący; *O systemacie Galla*, i t. d.; potem szczególne przypadki medyczne i postrzeżenia. W tomie czwartym umieszczą się różne rozprawy fizyczno-chemiczne, których przedmiot zawsze najbliżéj wszystkich obchodzić może, n. p.: *O cieple; O tworzeniu się gradu; O żelazie meteorycznym* i t. d.; do czego przyłączą się pisma pomniejsze literackie. — Nakoniec tomy piąty i szósty, zawierać będą *wszystkie pisma Jędrzeja Sniadeckiego obyczajowe* czyli *satyryczne*, w których dowcip jego, mianowicie w opisach Towarzystwa Sentymentalnego i tak zwanéj *Juromanii*, choroby krajowéj, jaśnieje całym blaskiem i całą dosadnością humorystyki. Cena prenumeraty wynosi zł. p. 30 za 6 tomów.

Dr. Szerbel przełożył na język niemiecki romans Czajkowskiego »*Kirdżali*«; mający w Lesznie wyjść z druku.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*